

Mój dziennik politycznie niepoprawny

ANDRZEJ WIERZBICKI



14 stycznia 2014

Marek Hłasko, czyli alkoholizm uwznioślony:

tytuł – nie przeczę, że złośliwy – umyśliłem sobie, czytając rozmaite opracowania na temat pisarza. Uciążliwa – alkoholowa – skłonność twórcy „Pięknych dwudziestolecia” i wielu innych, ważnych dla polskiej literatury tytułów, pozostaje w jakimś dziwnym związku z jego twórczością. Tę zaś słusznie uważa się za ważną.

Drażni mnie jednak hurapatriotyczne uniesienie niektórych apologetów Hłaski, widzących w tym, co pisał twórca odraęzanie na Ludową rzeczywistość. Ta mu nie pasowała; tłamsiła literackie i życiowe ambicje. Być może jest coś w tym na rzeczy, ale, bez przesady. Niekonwencjonalny styl bycia Hłaski, zwłaszcza jego „twórcze”... pijaństwo, też nie są najważniejszymi w moim krótkim, amatorskim szkicu o pisarzu. Na tle tego co po sobie pozostawił waży marginalnie.

Liczy się znakomity dorobek i pamięć po nim. Wszak trunkowe skłonności omotały niejedną utalentowaną, często skomplikowaną osobowość. Uchodziły w sumie na sucho wielkim i uznanym: amerykańska sława literacka, Truman Capote, łączył w sobie rujnąjącą zdrowie namiętność do alkoholu i narkotyków ze skłonnością do osób tej samej płci;

wielkość Tuwima i Broniewskiego, a także wielu innych, nie doznała uszczerbku przez to, że obaj namiętnie pili. Ta cecha pozostawała jedynie wizerunkową ciekawostką. Trudno aby była wysuwana na pierwszy plan opisu i twórczego wartościowania wyżej wspomnianych.

Wielu tworzyło w oparach alkoholu: patrz francuscy poeci symboliści; to ludzki ciąg genialnych pijaków (smakoszy absyntu) i narkomanów.

Media wspominają dzisiaj Marka Hłaskę – gdyby żył, skończyłby osiemdziesiąt lat. Pisarstwo Hłaski, podobnie jak jego rozwichrzone życie, przeszło do legendy.

„Pierwszy krok w chmurach” czytałem dyskretnie pod ławką na lekcjach dawno temu w szkole średniej. Jak usiłują twierdzić namiętni apologety pisarza, niszczyła Hłaskę peeresowska rzeczywistość, czyniąc to w odwecie za niepokorną, nie przystającą do oczekiwań rządzących twórczość. Wyemigrował, chociaż nikt z Polski go nie wyganiał. Poza krajem szczęścia nie zaznał – to tak w uproszczeniu. Pisał świetnie, przy tym coraz częściej sięgał do kielicha – staczał się w alkoholizm, co doprowadziło go w końcu do fizycznego unicestwienia. Życie, jakie prowadził, stanowi, samo w sobie, dobry scenariusz do filmu o treści awanturniczno – romansowej (właściwie erotycznej). Przystojny (kawał

chłopa), błyskotliwy i pisarsko utalentowany, przy tym szorstki i nieprzewidywalny w obyczaju, był za życia otoczony niezliczonym wianuszkami wielbicieli.

Lgnęły do niego kobiety, czego akurat można mu pozazdrościć. Parokrotnie ożeniony, krótkotrwale zazwyczaj, między innymi z podobnie jak on rozwichrzoną Agnieszką Osiecką. Małżeńskiego szczęścia nie zaznał, gdyż nie był stworzony do tak banalnej instytucji.

Czuł się wolnym ptakiem, zrywającym się nieustannie do niekontrolowanego lotu.

Apologetów Hłaski cechuje nieodparta, mylna mim zdaniem, skłonność do upolityczniania jego parcia na wodę. Według pewnej, natchnionej części wielbicieli pisarza... „Hłasko pił przez „komunę”. Uważam to za bzdurę: niektórzy np. twierdzą, że piją przez żonę i teściową. Pytam, czy gdyby nie „komuna”, nie piłyby? Jak podkreślają: dusił się w PRL twórczo, także jako człowiek, czemu dawał wyraz w tym, co pisał. To zasadniczo pchnęło go do emigracji. Poza Polską pisał i pił nadal, właściwie coraz więcej, aż do śmierci (samobójczej?) w 1969 roku. Jerzy Giedroyc, u którego przebywał jakiś czas w gościnie, wspomina, w „Autobiografii na cztery ręce”, dobrze sprzedające się „Cmentarze”, wydane sumptem paryskiej „Kultury”. Tytuł ten rzeczywiście nie pasował Gomułce. Do „Kul-

tury” rękopis dzieła przemyciła Agnieszka Osiecka. Twórczość Hłaski, jakkolwiek nadal interesująca i krzepko umocowana w polskiej literaturze, wydaje się oddalać od bieżących oczekiwań czytelnika, w czym nie ma nic dziwnego: świat idzie naprzód, nabiera pędu, zmieniają się gusta i zapotrzebowanie „na temat”. Rynek księgarski pęka w szwach zawałony tytułami, które coraz trudniej przewertować, poszukując pozycji wartościowych – cokolwiek to znaczy. Pozostają opinie krytyków. Ale, czy w tym odartym z bezinteresowności świecie można im w pełni zaufać?

W polemicznym, mało rozsądnym porywie zamyślenia umieściłem w Internecie (FACEBOOK) – czasami to robię, jakkolwiek uważam to za stratę czasu – następujący, celowo przerysowany wpis na temat Hłaski:

w Polsce panoszy się „intelektualnie” modny nurt zwalania na tzw. komunę minionych problemów życiowych i duchowych wczesno-powojennego pokolenia twórców: pisarzy, poetów, aktorów, reżyserów filmowych i teatralnych, malarzy i kogo tam jeszcze. Skłonności tej jakże często towarzyszą kombatanckie wyolbrzymienia i heroizowanie życiorysów, rzekomo, politycznie sponiewieranych. Powojenny inteligent, wewnętrznie rozdarty, uwięziony pomiędzy oporem a akceptacją – słowem bezradny

– pił i rzygał w literaturze oraz na ekranie. Patrz np. „Pętla” wg scenariusza Hłaski ze znakomitym aktorstwem Holoubka. Alkoholizm Hłaski – nie tylko jego – jawi się poprzez taką optykę jako osobliwa wartość: gorzki owoc zagubienia i nieakceptacji, która podobno wymusił na nim – i mu podobnych – emigrację. Bez Polski żyć nie potrafił. Do języków zaś talent miał marny. Więc, jakież to logiczne, pił. Coś mi się widzi, że gdyby nie „komuna” pisarz też by pił, tyle że .. elegancko i demokratycznie w .. wolnej ojczyźnie: nie np. w Niemczech Zachodnich, gdzie się ostatecznie się zapisał i zmarł w 1969 roku. Pewnie upraszczam, ale tak to widzę.

Oczywiście byłoby z mej strony niewybaczalną arogancją, gdybym odmówił Hłasce talentu i zasług, a także tego, że zapracował sobie na godne miejsce w polskiej literaturze. Opisywał życie takim, jakim było, bez mile widzianych przez władze upiększeń, przez co stał się podówczas rządzącym niewygodnym; np. odmówiono my przedłużania ważności paszportu, kiedy przebywał na Zachodzie.

17 stycznia 2014

Nie jest dla mnie zaskoczeniem, że przypadająca na dzisiaj sześćdziesiąta dziewiąta rocznica wyzwolenia Warszawy pozostała niezauważona w mediach. Jedynym „akcentem rocznicowym” było rozdawanie mieszkańcom stolicy ulotek, spichconych przez IPN (zgadzajcie, kto za to płacił), agituujących za wyrzuceniem z warszawskiej Pragi pomnika braterstwa broni – polsko radzieckiej (tzw. „czterech śpiących”). Zdaniem animatorów i zwolenników tej głupoty, pomnik jest symbolem podległości i zniewolenia, nie zasługuje więc na miejsce w naszej patriotycznej stolicy. SLD zorganizowało rozsądną, moim zdaniem, pikietę wzywającą do pozostawienia pomnika, jako znaku pamięci po poległych w walce o Warszawę żołnierzach polskich i radzieckich: inicjatywa ta raczej nie ma szans na powodzenie.

Warto pamiętać, że 17 stycznia 1945 roku ruszyła z nad Wisły radziecka ofensywa w kierunku Odry. Wojska, w tym żołnierze I Armii Wojska Polskiego, wkroczyły do zrujnowanej i wyludnionej stolicy. Dzień ten co roku obchodzone jako rocznicę wyzwolenia miasta. Po 1989 roku konsekwentnie studzono rocznicowy klimat i pamięć o wydarzeniu. Twierdzę, że coś takiego nie jest eleganckie; dowodzi wybiórczej amnezji, ma też cechy podłości. Zawsze uważałem, że należy „oddać cesarzowi co cesarskie”.